Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 51. Poznań, dnia 21. Grudnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

B Ö R N E.

1) Heinrich Heine über Ludwig Börne. (Hamburg 1840.)
2) Börne's Leben von Carl Gutzkow. (Hamburg 1840.)

(Ciąg dalszy.)

Na jego zasady polityczne wielki także wpływ miały słowa wieszcze Lamenego, które on przełożył na język niemiecki i swoim nakładem wydał. Nie można zaprzeczyć, mówi Gutzkow, iż Börne za wysoko cenił poetyczność tego dzieła, pod względem estetyki, prawdziwiéj uważał je pod względem politycznym i ta strona właśnie dla Niemców najważniejszą mu się zdawała. W dziele Lamenego powstanie wyprowadzone jest z zasad religii. Przeciwnicy reformy i postępu na cóż mogli się dotychczas odwoływać? na rewolucyą francuzką z jéj wszystkiémi błędami i bezecnością. Lamenais uważając rzeczpospolitą za pochodzącą od Boga, jednowładztwo jako pochodzące z piekła, w najpiękniejsze obrazy biblii starał się tę ideę wcielić, i Börne sądził, że on tak szczególnie do Niemców przemówi.

Artykuły Börnego w reformateur uzasadnione po części na ideach Lamenego były. Zdanie przecie w nich niektóre, jak na przykład: »lepiéj nie mieć religii, jak nie mieć wolności« ukazują, że nie były jednak tak katolickie (w zwyczajném znaczeniu tego wyrazu), jak Gutzkow sądzi.

Postępowanie Börnego było takie, iż nie dziw, że nie miał wielu przyjaciół, Venedey, Berly i Raspail byli jedyni, którzy tak za życia, jak po śmierci cenić go umieli. Umieszczamy tu wyjątek z mowy, którą szanowny Raspail miał nad jego grobem. Okazuje ona najlepiéj, w jakim stopniu Börne i na szacunek nawet cudzoziemców sobie zasłużył:

»Bez znajomości języka niemieckiego miałem jednak szczęście, poznać i czytać Börnego, i czuję go tak, jak czują go Niemcy. Tak, jak do serc współrodaków, i do naszych umiał przemawiać cudownie, jak w swéj ojczyznie, tak i we Francyi był zrozumianym, sam się przetłumaczył i zajął miejsce między naszymi najpierwszymi pisarzami. W jego stylu Beranżer i Paul Louis Courier są połączeni, tylko że myśl jego o lat dziesięć wyścignęła czas obecny, a lat dziesięć obecnie jest wiekiem w postępie czasu. Börne, żyd z urodzenia, był w pismach swoich, mojéj, naszéj religii, religii każdego dobrego człowieka, każdego narodu. Wierzył w ogólne braterstwo i równość. Wojna ludów między sobą była w oczach jego zbrodnią, jako prowadzona jedynie w interesie pojedyńczych, a narodowość, któréj się poświęca interes ogółu, nikczemną myślą. — Dusza jego pałała ogniem świętym dla tego co dobre, cierpiała dla tego co złe, walczyła za sprawę ludu — ciało to, należało do chorego, który poddał się swemu przeznaczeniu, do pisarza głęboko myślącego, do męczennika gotowego wszystko wytrzymać. Jeżeli zaś między zmarłymi a żyjącymi jest jaki związek duchowy prześlij nam kilka z tych prawd pełnych nadziei dla nas, które w otwartéj księdze tajemniczéj dla nas przyszłości, dziś czytasz wyraźnie, w pośród tylu zepsucia systematycznego, przeniewierczéj przyjaźni, od dnia do dnia więcéj występującéj — sen ten uśmierzy na chwilę nasz smutek, smutek, że nie jesteśmy tam, gdzieś ty już zaszedł.«

David, który tyle razy okazał się jako przyjaciel i wielbiciel mężów postępu, zrobił projekt do pomnika dla Börnego. Nim ten jednak ukończony został, familia, wśród któréj Börne życie zakończył, oznaczyła miejsce, gdzie spoczywają zwłoki jego, krzyżem i kwiatami. Krzyż ten na pagórku cmentarza père Lachaise, wywróciła wkrótce burza. Niektórzy, mówi Gutzkow, powiedzą, że ten nie był godzien krzyża, kto raz wyrzekł, iż żałuje pieniędzy, któremi chrzest swój opłacił, ponieważ tylu chrześcian jest żydami (w zwyczajném znaczeniu tego wyrazu) a on i bez tego byłby z zasad chrześcianinem; — inni powiedzą, że krzyż nie był stósownym symbolem dla człowieka, który wyższym był nad wszystkie sekty religijne, my sądzimy, iż burza, która krzyż ten złamała, chciała siebie przypomnieć.

Kwiaty i godło pokoju zrzuciła z grobu, którego widok nie do smutku i płaczu, ale do działania powinien nas pobudzać. Nie łzami chciał być uczczony zmarły, ale czynem. Oszczep żelazny a na nim dwie tarcze trzeba było zatknąć na grobie jego. Dźwięk z nich kołysaniem wiatru wydobyty, byłby najwznioślejszym pomnikiem grobu, nad którym cisza ponura panować nie powinna była.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Boże Narodzenie.

Bóg się rodzi — moc truchleje,
Hymn żalu wznoszą narody,
Piosnkę zemsty lud już pieje,
Piosnkę zemsty i swobody.
Ach! to Marya w bólach rodzi,
Bóg się rodzi — Bóg się rodzi.

Niebo czarno się zachmurza,
Żałobnie płaczą dziewice,
Nad ludzkością wisi burza,
A śród burzy błyskawice.
Ach! to Marya w bólach rodzi,
Bóg się rodzi — Bóg się rodzi.

We krwi ludów piekło brodzi,
Opiekuńcze widzisz duchy,
Już piękniejsze słońce wschodzi,
Wnet opadną z nóg łańcuchy.
Ach! to Marya w bólach rodzi,
Bóg się rodzi — Bóg się rodzi.

E. G.

rodzi Gustaw Ehrenberg

Panna Katarzyna.

Domowa powiastka przez J. L. J.

Rozdział I.

Posłaniec.

Pewnego dnia w początkach Listopada roku tysiąc pięć-set siedmdziesiąt piątego dwaj kmiecie mazowieccy ze wsi Swintopy, o sześć mil od Warszawy, spieszyli sporym krokiem do sąsiedniego lasu, najkrótszą znaną sobie drogą, ponad trzęsawiskiem, gdzie, wedle gminnéj powieści, jacyś tam dziwni szatani, i dniem i nocą, piekielne harce i swawolne podróżnym wyprawiali psoty. — Rozegrzani trunkiem na czczo u arendarza użytym, zbliżają się ku środkowi trzęsawiska; wtém jeden z nich raptem zawołał: »Boze muj! a cus to za moc ta djabelska! .... wsak czi to człowiekowi i do lasa spokojnie psejśćź nie da!« i kończąc te słowa krzyknął przeraźliwie: »W imie Boga Ojca i Syna i Ducha szwiętego! zgińże mars! a psepadnij!« splunął trzy razy, i jakby piorunem rażony, odbiegł wprzód kilkanaście kroków, wołając na towarzysza: »Jakubie! Jakubie!... zmrusta wocy ... nie patsajta! niech-to sobie psejdzie ... dycz to djabeł!« — »Wselki duch Pana Boga chwali!« odkrzyknął zmięszany Jakub, strwożył się niewymownie, zwrócił się na wszystkie strony, — lecz nie postrzegając złego ducha, udaje odważnego, podbiega do kolegi i uśmiechając się mówi: »Cus czi ta Matjasu?... takes czie pobiegli.« — »Oj! i wy, somszeidzie, jesce bysczie dali uciekali, niechby no tam was jaki djabeł za kołniz chwytał, a drugi iskrawom głowienkom po pod same szlipie sunął.« — „Hola-la! dajta pokuj!.... złego ducha w tym miescu nie spominajta! bo tocz nawet szwienty gzech, — tocz śzię lepi psezegnajta w imie Ojca i Syna, a uchodźma co zywiej.« — Opatrzył się nieco przelękniony Matyasz, spiesznie się przeżegnał, chwycił Jakuba po ramie, i uchodząc z niebezpiecznego miejsca opowiada mu, jak go tam szatan napastował.

Ledwie kilkadziesiąt ubiegli kroków, aż nowy strach Matyasza przejmuje: »La Boga! somszeidzie! a cus-to nie widźita tego tam djabła, co szię w błoczie kompa? o! psez Boga zywego! ze jus dali nie pujdę! to nie pujdę, choćzbysczie mnię i zabili; nie pujdę, i wam iścz nie radzę; wrućzma szię doma!« — »I cus-to tak widzita, Matjasu?... dźies-to? dźie?« — »Ej tam, tam ... na błoczie, w onej rokiczinie....« — Toćzem wytsyscył wocy, jak latarnie, a nic takowego nie widzę.« — »Obacyta, jeno sobie psetsyjta śzlipie; ho, la Boga! jesce czię rękom cy nogom kuśzi.« — »Cha, cha, cha! dobzes-to powiadajom, ze u stracha duze wocy — tocz i ja jus widzę, ales to nie djabeł, jeno człowiek; a, dalipan, zywy człowiek, — cy widźita? to tak rękom na nas macha; pudźwa do niego, to jakiśz niescęsliwy wendrownik.« — »A, idźta sami, jeśli chceta, by was opentał.« — Widząc Jakub, że nie namówi przelęknionego i upartego Matyasza, a pewny, że na błocie widział człowieka z koniem, zbiega z drogi kilkanaście kroków, lecz nie dowierza jeszcze swym oczom, staje i woła: »A chto wy jezdesczie? — czyscie wy prawdziwy człowiek? cy nie? — mozesczie tu na wesele do tych tam djabłów psyjechali, i nas katolików kusziczie?... psezegnajta szię jeno!«

Na te słowa, których siedzący w błocie dobrze nie dosłyszał, ozwał się głos żałośny: »Oj prybiwajcie,

prybiwajcie, dobry ludzi! ot i koniaka prystauszy, i samomu nie wiedasz, jak z bałotu wyleść. Kalib pamohli, — do wywieli na darohu!« — Jakub nie zrozumiał wyrazów, ale się upewnił, że słyszał głos ludzki; machnął więc ręką na Matyasza, wołając: »A chodźtaz, chodźta tutaj! dyćz to człowiek, a moze i katolik; toćz go tseba ratowaćz.«

W istocie był to konny posłaniec z listem, rodem z Litwy. W owych czasach poczty listowéj, jaką dziś mamy, u nas jeszcze nie znano. Do dalekich korrespondencyi używali panowie sług niższego rzędu, umyślnie na ten cel chowanych. Jeśli wielki jaki pan miał interes do innego wielkiego pana, gdzieś tam o sto mil mieszkającego, pisał do niego list, powierzał go umyślnemu; ten się rozpytał o drogę, natychmiast ruszał i przywoził odpowiedź. Wszakże nie zawsze ubitego trzymał się gościńca, — wziął Boga i słońce za przewodników i puścił się w najprostszym kierunku, jak oczy powiodły. Trafił na rzekę, to ją wpław przepłynął; osadził się w błocie, zawsze się wydźwignął; wpędził się do lasu, to choćby i oko na gałęzi zostawił, tnie konia harapem, a daléj posuwa.

Podobnym junakiem był właśnie nasz Litwin; lecz mniéj od innych przezorny, pędząc nocną porą rozminął się z drogą, trafił na trzęsawisko, konia zdrożonego w błoto zapakował i na nim jak posąg aż do dnia przesiedział. Szczęśliwym dla niego trafem nadeszli oto dwaj mazurowie; lecz że się nie bardzo ku niemu z ratunkiem spieszyli, winien to był podróżny lękliwości Matyasza, a poniekąd swemu ubiorowi. Miał on na głowie jakąś czapkę nakształt okrągłego worka, z zawiązanémi pod brodą uszami, — na grzbiecie inny wór z koziéj skóry, kosmatą stroną na wierzch wywróconéj; była to niby oponcza, niby burka z rękawami, długa do pół goleni, u szyi ściągnięta powrozem. Ubiór spodni bardzo fałdzisty, po środku prawie do kolan obwisły, (snadź go tak jeździec umyślnie do konnéj jazdy ku swéj wygodzie sporządził.) Łytki i stopy, owinięte chustą, oplecione były dość misternie cienkiémi powrozkami, przewleczonémi przez uszka łykowych trzewików, których imie (jak wiadomo) na Polesiu: postoły, w innych okolicach: chodaki, a na Litwie: łapcie. Zawieszona przez plecy skórzana torba kończyła podróżnego ubranie, a na wierzchu torby błyszczała mosiężna blacha, śród któréj osadzona czarna wielka litera R., znaczyła cyfrę domu jakiegoś magnata. Było to coś w rodzaju dzisiejszych ozdób cyfrowanych, co się za pewne zasługi rozdają; z tą tylko różnicą, że te ostatnie czepiają się z przodu, zaś Litwin swą torbę zawieszał przez plecy, gdzie klucz szambelański; (dodajmy w nawiasie, że jedno i drugie miejsce niewłaściwe; wszak-ci w średnich wiekach cyfry pańskie noszono, albo na kołpaku tuż przy drobnych dzwoneczkach, albo na szyi, u metalicznéj obroży.) Ubiór ten Litwina, na Mazowszu niewidzialny, był, wedle wszelkiego podobieństwa, przyczyną, że Matyasz, biorąc podróżnego za piekieł mieszkańca, długo się wzbraniał podejść do Jakuba; lecz postrzegłszy w końcu, że się tamtemu nic złego nie dzieje, reflektował się nieco, dał się namówić, podbiega do kolegi i rzecze: »Dyćz, somsziedzie, miejta rozum, nie zwazajta, ze on czi tam jakby cłecym głosem śpiewa, bo czi djabeł wsystko umie: on czi szię i w kupę gnoju, i w jelenia i w konia, ba! i w człowieka psedźizgnie, byle jeno świętom dusę katolickom skusził. Wsak-czi to ksionc probosc w Psevorsku własnemi świentemi ocami one psoty niecystych duchuw widział, i słyseli ludźie, jak o tem sam własnom gębom na kazaniu prawił; tocz i onemu wiezyćz nie bespiecno;.... ja nie uwiezę, az szię ksyzem świętej męki pańskiej psezegna; — a mówtaz onemu, niech to ucyni.«

Podróżny nie słyszał téj mowy, płakał tylko i narzekał: »A! ci mnie tu bies zahaniu?....panie odpusci hrecha!« i wymawiając szatańskie imie, nabożnie się przeżegnał. Mazurowie, postrzegłszy znak krzyża, mniemali, że podróżny dla tego się przeżegnał, by ich upewnił, że był chrześcianinem; więc pospieszyli ku niemu i pomoc mu swą ofiarowali; — zaś Matyasz, przypatrując się z ciekawością jego ubiorowi, dodał z uśmiechem: »A bodajze was kacka podeptała! cys-to śzię godzi tak ludzi wosukiwaćz? Wyscie szię wpsud byli djabłem pokazali; a owosczie pono wierutny człowiek, ba i katolik.« — »Ta ludzie tam, panie hospodaru! ot ja Ličwin; — da pamahlib, kali łaska, biednu skacinu wyciahnuć, sztob u wbałoci taj nia zdochła.«

Na tę mowę Litwina uśmiechnęli się Mazurowie, pomogli mu zsiąść z konia, jęli się szczerze do roboty, i Litwin im pomagał; wreszcie po kwadransie dźwigania, wpół omdlałego konia na drogę wywiedli. Skoro się Litwin ujrzał bezpiecznym, jął się kłaniać i dziękować, pochylając się aż do ziemi: »Dziakujem waszmościom za tu łasku! da skażicie jeszczo kuda mnie ot toju darohoju zajechać?« — »A kędyś-to tak jedzieta?« zapytał Jakub. — »Ot, jedu iż Nieswiży, od naszoho księdza Radziwiłła, s Kartoju do pana Dobrowolskoho; skażicie ci jeszczo daleko?« — »Skoro-to tak litwinku bozy do pana Dobrowolskiego jedźieta,« rzekł Jakub, »to szię nie mata cego i frasować; dyćz-esćzie jus na jego grunta zajechali; na tamta hen! hen! włoscz nasa; to jus do niego nalezy, pan Dobrowolski to nas dzie-

dżic.« — »Chodźta sam!« przerwał Matyasz, »patsajta jak słonko wguze, a my jesce tutaj!« mówiąc to chwycił Jakuba za ramie i obaj odeszli. Podróżny zostawiony na drodze, w miejscu sobie nieznaném i odludném, turbował się, nie wiedząc kędy się skierować, wołał więc za Mazurami: »A dalokosz dwor?« — »Ho! ho! do dwora Dolińskiego, gdzie sam pan mieska,« odpowiedziano mu donośnym głosem, »jesce będźie dobre dwie mile, i z ogonem! ales dajta onéj skapie wypocącz w karcmie nie daleko, jest tam Icek arendal, zyd starozakonny, barzo ucciwy, co wam dobze usłuzy, a nie wiele zapłacita. — Niech będzie pochwalony!« — »Ta hdziesz karczomka? kali łaska pokazać.« — »Idźta tak prosto a prosto drogom, tam, wedle Bartosowéj stodoły a Maćkowéj grusy; a zaszię psy Fronckowéj oziminie wezmieta szię k'sobie; jesce tam jaką krstę drogi podejdzieta, wyciągnieta jeno rękę, a jus-czi i arendaza za brodę tsymata.«

Nie podobała się podróżnemu ta informacya, bo jéj dobrze nie zrozumiał. W innym razie byłby może łajał Mazurów; teraz jednak, dla doznanéj ich ludzkości, wstrzymał się od złośliwego łajania, tylko sobie w duszy niewinnie uśmiechając się powiedział: »Do idźicie wy na suchij les: sztob was wouk zariezau, i z waszim Maćkom!... Kalib tolko do stodoły dajci, tak do hruszy i nia pojdu; uwraz koniaku zaskulbaczu, napoju, obroku zasiplu, taj lahnu u wsieno spać, cielusieńku Bożu nocz na komaci jakby jakij dureń, prasiedzieuszy taj nia spauszy.«

Idzie podróżny stroskany przygodą, ciągnąc za sobą zmordowanego konia, co ledwie się wlecze. Szedł tak przez kilka godzin, aż, poztrzegając przed sobą pierwszą budowlę, zawołał uradowany: »A! chwalić Boha, użo nia daloko.« — Trzeba wiedzieć, że w Litwie sień czyli stajnię zajezdnéj karczmy nazywają powszechnie stodołą; wziąwszy tedy podróżny Litwin Bartoszową stodołę za karczmę, mniemał, że tam był kres jego pieszéj podróży; lecz zdziwił się niewymownie, gdy za przybyciem pod stodołę zamiast koni i powozów znalazł w niéj robotników, co zboże młócili. Rozgniewał się tedy i począł złorzeczyć: »A! sztob was palarusz kinnu, slepyje mazury! kazali szto stodoła,... a ot priszon, pohladzieu, asz i humno, ... ot, niewinno czołowieka i z darohi czwieli; i sztosz ty im paradzisz? .... choć ty sieuwszy taj płacz!« W istocie usiadł na ziemi i począł płakać. Zawodzi Litwin to cienkim, to grubym głosem, aż wywoła ze stodoły ciekawych robotników, którzy dowiedziawszy się o powodzie płaczu podróżnego, pokazali mu drogę; ten zaś zniecierpliwiony, nie wdawał się w gawendę, poszedł prosto około Maćkowéj gruszy, i, nad zachodem słońca, szczęśliwie przybył do karczmy; że zaś nikt na jego spotkanie nie wyszedł, sam wrota otworzył i konia do stajni wprowadził.*)

---

*) O takich posłańcach z późniejszych czasów, jest wiele anekdot; między innémi taką powiadają:

Któryś tam Potocki, z Ukrainy czy z Podola, mając interes do Francuza w Paryżu, przywołuje do siebie faworyta Kozaka i mówi: Mohyla! jutro pojedziesz z listem do Paryża. — »Dobre Pane, pojidu!« — Wieszże gdzie Paryż? — »Znaju, pane!« — A gdzież? — »Ot, na kinciu jazyka, baťku serdecznyj!« — Cha, cha, cha! ależ ty nie umiesz ani po niemiecku, ani po francusku, jakże się dopytasz? — »Prauda, pane, szczo krom hajdamaćko-i mowy hynszo-i ne znaju; da uże moja — to ricz dumaty, jakby tam potrapyu, kartu w ruki oddau, taj Panowi, odpisku przywiz, (szczob za to hostyńcia harnoho dostau).« Poskoczył zręcznie ku panu, chwycił go za rękę: »Da ne turbowatyb-sia! baťku serdecznyj; ot, siłyb taj kartu napysały, szczob zautra do swita wyjichau; a jak szmirhnu. . . . tak pobaszyte, pane, szczo na nicz taj u Paryzi stanu!« powiedziawszy to, rękę pańską ucałował i do drzwi powrócił. — Naśmiał się Potocki do woli z téj rezolutności faworyta; usiadł wreszcie przy kantorku, zaraz list napisał; oddał Mohyle, ten go schował do kality, »Sława Bohu!« i wyszedł. Na zajutrz wstał rano; konia okulbaczył, wywiódł na dziedziniec, uwiązał do słupa; zaszedł do piekarni, zjadł ranne śniadanie; krzyż święty nahajką przed koniem nakreślił; skoczył na siodło, sam się przeżegnał, świsnął . . . i pojechał. Jak odbył swą podróż przez Niemcy i Francyę? dziśby daremnie o szczegóły pytać; wiadomo tylko, że we trzy tygodnie stanął szczęśliwie w francuskiéj stolicy. Chodzi po bulwarach; radby się dowiedział dokąd się udać? komu list doręczyć? lecz zagłuszony hrukotem powozów, wrzaskiem kupczyków, i ruchem niezwyczajnym pospólstwa zdziwiony, tak z razu ogłupiał, że nie wiedział jak począć. Ale w końcu odzyskuje przytomność; dobywa pismo, upatrzył sobie ładnie przystrojonego panicza, zbliża się do niego, zdejmuje kołpak, pokazuje pismo, kłania się i mówi: »Sława Bohu! skażyte meni baťku, de toj szlachtycz żywe? . . . ot, ja do joho od Pana taj skartoju przyjichau.« Ten parsknął ze śmiechu, wziął pismo do ręki, adres przeczytał (bo w jego języku był napisany) i pyta kozaka: »Vous voulez savoir où ce Monsieur demeure? n'est-ce pas?« — A Kozak mu na to: »Ot, baťku, szczob praudu skazaty, to ja toho szczo wy tam każete, i ne rozumiju. — Ha, ha, ha! Est-il donc bête, ce magot-là! . . . Passage Rad-zivill? . . . No. 35? . . . mais! . . . c'est tout près du Palais Royal. . .« — Mohyła zniecierpliwiony uniósł się gniewem: »Ot, durnyj chrancuz! . . . Da uże kazau szczo ne rozumiju! . . . koły ne znajete de wis żywe, tak oddaj też meni i kartu; ludej popytaju. . . A! jakij skażenyj narod! ot wjichau czołowik jak u w lis taj dybaje, ne znajuczy kudy powernułyś? Buwau ja uże u Wilni; u w Arszawi, taj u Krakowi; u w Poznani; taj u Peterburkowi buwau, i u Moskwi, uże u wsiudy buwau a takoho czortowoho Paryzia jak to, jeszcze nihde ne baczyu! (Bis-by twoho baťka ubyu!)« Gdy się tak Ukrainiec z Francuzem certuje, tym czasem Paryżanie, sławni gawronowie (badaux de Paris), otaczają ich wkoło i przysłuchając się dziwnéj konwersacyi, ze śmiechu za boki się biorą. W parę minut zebrał się ogromny tłum ciekawych; i znalazł się między nimi jakiś komisjoner (po naszemu faktor), co bez kłopotu, za parę soldów, prosto Kozaka wedle adresu zaprowadził. Utrzymują niektórzy, że Mohyła osadził był swój list na kiju, podniósł do góry i tak się z nim po bulwarach przechadzał; i dodają, że sprawienie się jego w Paryżu znalazło u pana nader wielki fawor, bo za powrotem jego do domu, dał mu Potocki kilka dukatów gościńca, i na dowód swego wielkiego zadowolenia, jeszcze go własną pańską ręką, uśmiechając się, za seledeć potargał.

Rozdział II.
Arendarz.

Był dzień sobotni. Żyd szabas odprawiał; siedział w izbie za stołem, trzymając na nim mocno oparte swe łokcie, twarz objął w dłonie, wielkie palce wychylił za uszy, a inne w długich i gęstych pejsach zatopił. Głowę jego, do pół stołu wysuniętą, przykrywała spiczasta, kunami obszyta aksamitna czapka; od szyi spadała po ramionach i całą żydowską okazywała tuszę biała kamlotowa płachta, jaką-to i dziś żydzi nasi przy nabożeństwie i w dni świąteczne zwykli się pokrywać. — Bujna jaka imaginacya mogłaby była upatrzyć w arendarzu nieruchomie na stole opartym model tureckiego Meczetu. Jakoż: przed ramiona, łokciami prostopadle na stole osadzone, obejmujące w dłonie szeroką oryentalną żyda fizyonomię, zdawały się dwiema kolumnami utrzymującémi, u wierzchołka, w palczastych antabach, gustem wschodnim skulptowaną facyatę, zlewającą się z wysokim spiczastym dachem, który tu wyobrażała czapka. W rysach téj skulptury widać było księżyc w pełni, czy słońce, godło religii wielkiego Mahometa. U dołu, próżne miejsce między kolumnami było niby krużgankiem, a długa siwa broda, niby płócienną zasłoną, pod którą żydowska chowała się dusza; długie pejsy żyda, spadające na stół, zdawały się jakby poddaszem i uzupełniały meczetową architekturę. Obraz był dość podobny; brakło tylko u wierzchołka czapki, tureckiego półksiężyca. U rogu stołu kiwał się nad biblią młody Izraela potomek; czytał on jakiś rozdział starego testamentu i uczonémi objaśniał komentarzami. Gdy lektor szabasowy sam text biblii czytał, stary arendarz słuchał go z uwagą; lecz ile razy wdał się w komentacye, stary zasypiał, lub zniecierpliwiony ku innym przedmiotom swą uwagę zwracał. Czém się to działo? odpowiedzieć trudno; wszakże wolno mniemać, że uczony wyrostek prawił tam o czémś czego nie zrozumiał, (jak się to i między nami nie jednemu zdarza.)

Izba gościnna, gdzie żyd siedział za stołem otoczonym ławkami, była dość obszérną i czysto utrzymaną. Na przeciw stołu wychód do sieni; po lewéj ręce siedzącego żyda główny wchód z ulicy, a po prawéj dwa alkierze przedzielone szalowaniem; z tych pierwszy od stołu, z łóżkiem i kilką stołkami służył dla podróżnych gości; drugi, z dwoma łóżkami, był spalnią gospodarstwa; każdy z nich miał osobne wejście z wielkiéj izby gościnnéj; zaś ze spalni żydowskiéj były drzwi do komory przybudowanéj z sieni, a pod komorą piwnica.

Drzemał właśnie oparty na stole arendarz, gdy przybyty litewski posłaniec otwierał wrota. Za ich skrzypnięciem raptem się ocknął, zerwał się, pacierza domruczał, pobiegł do alkierza, zrzucił świąteczne ubranie, wdział codzienny łapserdak i wybiegł do sieni. Zastawszy tam podróżnego, wypytał go naprędce: zkąd a dokąd jechał? od kogo? a do kogo? w jakim interesie? i nie mieszkając zajął się potrzebną usługą, a po dopełnieniu, co do niego należało, skoczył do swego srokatego konia, chwycił go pieszczotliwie za chrapy, ucałował i pieścił się nim, jak dzieckiem. Patrząc na to podróżny rozśmiał się i zapytał: »Ta za sztosz, panie orendaru, tak swoju skacinu kochajecie? ot, taka hidka sztob na niej i jeździć nie chacieu.« — »No, gadajcie sobie,« odpowiedział arendarz zwyczajnym żydowskim dyalektem, »ale ja tego nie powi, cob wy znali jaki to kuń!... no, pewno, źie na swiatu drugi taki nie ma! a jak ja siondzie na jego, to wszistki koni, jaki jeno jest, to wszistki prziebiegnie; wyciąga się jak lis, a leci jakby jaka lastufka. No! co to za srokati! to moja wielka fortuna! a źieb wun bruń bożie zdichał, tob Ickowi samemu nie źić!« Pogłaskał konia po czole, i odchodząc rzekł do Litwina: »No, kończcie tu kole swego konia: troszku pogadami; ja barzo rad, co wi do nas zajechali.« — »I czahosz tak rad?« — »No, bo ja Litwinuf barzo kocham.« — »A ci buwan na Litwi?« — »A dla cziego nie biwal?« Tu arendarz zawiesił głos, zmiarkował się, i dodał: »No, ja tak jeno źiartuje; ja tam na moi źicie nie bil, ale ja zna tamteszních panuf, senatoruf a stanu ricerskiego, i radbi co ich posliszal, czi woni tam jeszczie źije? możie już pomarli?« — »Ot, ni, pane orendaru, ot tak uwsi jak źili tak źijne.« — »A jakźie woni źije? pan Wolowicz? a Wolodkowicz? pan Dowgiall? a pan Oskirki? co woni tam robi? czi biwajo cziensto w Nieswieźi? a hinszi gości czi tam przijeźdźajo?« — »Ci prijezdźajuć? ot, skaźicie, panie orendaru, szto tak cielusieńkij boźij dzień, od ranku do wieczora, nia obaczisz tolki haściej.« — »A zkąd ti gości tak przijeźdźajo?« — »Ot, zo uwsich staron, i z Uarszawi, i z Krakowi, i z Wilni i z cieloho swieta chmaroju sypluésia, szto asz strach! za hośćmi i swoim nia masz hdzie prisieść; a hinszi to od niedzieii dniujuć taj naczujuć: a najbolsze, to sczuźich krajon.« — »No, a od Cisara czi tam do waszego księdza Radziwila przijeźdźajo?« — »Ot, priizdźajuć, panie arendaru.« — »A od Moskieskiego?« — »Ot, nia tolko od Maskowskoko, do i od Turka priizdźali.« — »To i wielki senatori tam biwajo?« — »Ta użo wsiaki bywajuć; a hinszi, to u doma sami zabawla jnesia; wsio palajuć, i na Tataron nia pojduć, do wsio biednych miedźwiedziou strelajuć. Da sztob tolko czołowieku dali jeść a skazali: „idzi“, tak u wrazby paszon, taj wa-

lenby s Tatarom da s Turkom barośsia jak z miedźwiedziom; takob pakinuu, niachajby siebie po chwajakach łazi-u; takib wsiech barciounia wydzier, jeszczob astałoś panom miodu z ohorcami jeść: da pabiehby ludziej biednych ratować, sztob u Tatarski ruki nia dostaliś z żonkami, z dziećmi taj za wsiom dobytkom swoim. Ach! kalib znaliscie, panie orendaru, szto hety szelmonski Tatary Perekopski to Nohajski, biednym ludziom na Rusi szkody narobili! Ot jezdzi-u skartoju do ksiondza Konstantyna szto w Ostrohu: tak widzieu tych biednych ludziej; zaszon w odnu, w duchu chatu, asz tu baćka nia masz; tam brata, a u druhich i dziecko jedino nia wiedajesz hdzie padziełoś; ot tak wsiech Tatary pozabiwali, pochapali, na kraj swieta rozohnali, i starych i małych, ... a jakij tam płacz! Oj, panie orendaru, asz serce bolić i hlodzieć na biednych!« Mówiąc to Litwin spuścił głowę i otarł rękawem rzewne łzy, które mu wspomnienie téj niedoli wycisnęło.

Wiadomość ta o napadzie Tatarów na Ruś mocno zajęła arendarza; wybadywał więc podróżnego o najdrobniejsze szczegóły; pobiegł do izby, wyniósł flaszę gorzałki, traktował go, a ciągle wypytywał. Wreszcie wysnuwszy z Litwina, co tylko można było, o Nieświeżu, jego okolicach, o panach litewskich i o Tatarach, przerwał konwersacyę, i widać było, że myśl jego zajętą była jakiemiś ważnémi przedmiotami — oddał flaszę służącemu i wyszedł zamyślony przed karczmę.

Już się dobrze zmierzchło; arendarz zadumany ciągle się przechadza, to się uśmiecha, to coś sobie szepce, jakby z kim rozmawia, macha rękami, snadź w duszy radością się unosi . . . . aż krzyknął raptem, chwytając się za głowę: »Aj, panie! żiebi to taki ważni żeczi wiedział Cisarski posel, pan Deducy, tob zaraz, tutaj ... na tim stolu, na tim samim pańskim stolu, sto czierwonich jak nic odrachowal — a pan się jeszczie targuje . . . . przepraszam, panie, ale tego na primasa koroni polski nie przistoi...« Tu się opatrzył, zwrócił się prędko na wszystkie strony, śledząc, czy go kto nie słuchał; — wtém nadjechał z przeciwnéj strony karczmy inny podróżny. Był to zasłużony pachołek lub dworzanin, ad libitum, i faworyt Zamojskiego, starosty Bełskiego.

Podbiegł ku niemu arendarz i z radością powitał: »No, jak sie waszmości macie, pani Antoni? a kiendyto tak puzno jedziecie? możieście tu na noc zajechali?« — Pachołek leniwie z konia siadając odpowiedział nie wesołym tonem: »Dziękuję, panie Icku, jeszcze jakoś człowiek żyje, ale Pan Bóg święty wie, czy długo pociągnie; — bez ustanku w drodze, z témi przeklętémi listami! . . . tak mię kolki skłuły, że ledwie oddycham. Każcie-no, panie Icku, wynieść tu kufel dobrego miodu.« — »No, to zajdźcie lepi do izbi, odpocznijcie troszku; a jab radził zanocować, tobiśmi sobie o ruźnich tam żieczach pogadali; wsziak waszmości nocleg kosztować nie biendzie; ja sie potim sam z panem starosto porachuje; a w waszmościnéj kiszeni to sie nie zepsuje, co tam macie na drogie; a jakbi pan starosta co powiedział, to ja jemu biendzie muwił, żie waszmość nie mieli przi sobie pieniendzi, to wun sam zaplaci; ot, o tego to nie ma co i gadać; do cziego to wielkich panuf żialować? a na co by wun mial pieniendzi?... no, na to, żiebi placil.« — »Zjadłbyś żydzie sto djabłów!« odparł mu z oburzeniem pachołek, »A, jakaż to żydowska natura! tylko oszukaństwo na myśli! Ej, panie Icku, i waszeć, jak widzę, jużeś się szachrajstwem zaraził Zjeździłem już ja nie mało świata, dzięki Bogu, przez lat kilkanaście, jak jestem u pana starosty, a jeszczem go nigdy ani na grosz nie ukrzywdził — i nie ukrzywdzę.«

Arendarz, nie spodziewając się takiego ofuknienia, cofnął się w tył przelękniony; lecz widząc, że pachołek skończył na słowach, podchodzi znowu do niego i kłaniając się familiarnie mówi: »No, przieprászam; ja tak jeno żiartował: obosz to nikt nie wi, żie waszmość, panie Antoni, barzo ucciwi, ale miedzi znajomich można cziasem i pożiartować; to sie waszmość niechaj nie gniwa. Ale ja radze, żiebiście zanocowali.« — »Ba! jak mi tu nocować? mam jeszcze kilkanaście listów do rozdania, i jutro na noc muszę koniecznie do Warszawy powrócić, a odpowiedzi panu staroście doręczyć; pojadę dalej, tylko się miodu napiję.« — »No, to choć zajdźcie do izbi, napijemi sie razem po dobri znajomości.« — Pachołek się nie wzbraniał, uwiązał konia do słupa i wyszedł z Ickiem do karczmy.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencya.

Wyjątek z listu do Redaktora.

Szanowny Redaktorze!

— — — — Czém się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci. Sprawdza się to przysłowie i na mnie. Tylu różnemi zawalony teraz pracami, ledwo chwilowe mi dającemi wytchnienie; nie mogę przecie choć godzinki im czasu nie odkraść, by wkorzenionemu dogodzić nałogowi, to jest pogawędzić znów z Tobą troszeczkę o rzeczach literackich. Wzwyż przytoczony poeta powiada: *Naturum expellas furca; tamen usque recurret* (Ep. li. 1, 10, s. 24.). Niech to więc i dla mnie będzie pocieszeniem, dla Ciebie — wytłómaczeniem.

Przedmiotem mojéj pogadanki mają być dwie ważne rozprawy, które mnie mocno zajęły, to jest: pierwsza: o zasa-

dach wychowania po szkołach wyższych przez Pana H. C.,*) druga: Dla czego umiejętności przyrodzone winny być główném przedmiotem wiedzy ludzkiéj? p. Pana Teofila Mateckiego. **) Ponieważ tylko pogawędzić z Tobą zamierzyłem sobie o nich, samo się przez się rozumie, że w żadne głębsze rozbiory wchodzić nie będę; raczéj ulotnie o każdéj powiem, co mi się zdawało, to jest, moje widzimi się o nich. Wszakże gdy na pierwszą, jako zarzynającą w moje pole, to jest filologią, kiedyś obszerniéj odpowiedzieć sobie postanowiłem, i moja gawędka dzisiejsza więcéj nad drugą się ma rozwieść; wszakże nie wychodząc nigdzie z granic sobie właściwych, to jest ulotnich uwag listowych.

Rozprawę Pana H. C. czytałem z wielką lubością, i to nie dla pięknego jéj stylu i logicznego wykładu tylko; ale i dla rzeczy, która acz nie nowa, przecież u nas, od wydrukowania klassycznéj rozprawy: o filologii, filozofii i matematyce, jako zasadniczych umiejętnościach naukowego wychowania, pono dopiero po drugi raz pod ściślejszą uwagę podciągniętą została. Nie mogę zaprzeczyć autorowi, że przedmiot swój ważył na szali rozsądku i zgłębiał, nim się o nim publicznie odezwać odważył; nie mogę mu nie przyznać, że zarzuty jego przeciw zbytniéj powadze języków starożytnych w wychowaniu gimnazyalném, z ujmą innych umiejętności — całkiem są słuszne. Owszem mógłbym przydać jeszcze kilka uwag więcéj, zwłaszcza przeciw owéj uporczywéj oziębłości, z jaką dotąd nieomal po wszystkich gimnazyach naszych traktowane są nauki matematyczne. Na główne więc myśli autora całkiem się godzę, bo są z gruntownéj, zimnéj i bezparcyalnéj przeto uwagi wyczerpnięte. Co się przecie dotyczy podrzędnych, tu na wielu miejscach byłbym przeciwnego mu zdania. Nasamprzód widzę w nich jednostronność; ta zaś jest, iż autor wychodząc z zasad Heglowskich, wszystko do nich naciąga i zmusza. Bardzo pięknie, żeby nauka loiki rozciąglejsze po szkołach zajęła granice, żeby wspólnie z matematyką musząc umysły młodzi do ściślejszego i porządnego myślenia, kształciła ją na prawdziwie pożyteczną krajowi; ale powiedzieć, że przez to nauczy ją myśleć jak Bóg myśli! to chyba trzeba być Heglem. Powtóre widzę w uwagach autora uprzedzenie. Z innego bowiem źródła nie mógł wyniknąć jego wniosek, że tak jak dziś greckiego i łacińskiego języka, kiedyś może Sanskrytu uczyć będą po szkołach. Nie znam języka i literatury starych Indów; ale ile wiem z fizyologii i historyi, stopień intelektualności narodów zawisł od klimatu, który zamieszkują, oraz innych więcéj, zewnętrznych, historycznych nań działających wypadków. Żadnemu dotąd narodowi nie sprzyjały tyle te główne warunki w rozwijaniu jego sił umysłowych, jak greckiemu; żaden też dla tego doskonalszego nie stworzył języka, doskonalszych nie wydał wzorów w poezyi, w sztukach i t d. jak właśnie naród grecki A zatém literatura Sanskrytu nigdy nad nim górować nie może Podobnie całkiém urojone jest zdanie autora o składzie peryodów mowy greckiéj. Mieni go fantastycznym. Dla czego? czy dla tego, że wszystkie niedokładne języki nasze nowsze nie zdolne są oddać tych delikatnych, rozmaitych odcieni partykułów, konjunkcyi i t. d. niezliczonych, któremi Grek spajał strukturę swoich myśli? Lecz ta rzecz wymaga cokolwiek gruntowniejszego zastanowienia i rozbioru; więc ją odkładam do obszerniejszéj mojéj odpowiedzi. Tu tylko nadmieniam, iż nic łatwiejszego .. jak ogólny o czém wydać sąd. Kto chce czego dowodzić, czynić to powinien z matematyczną ścisłością, t. j. poprzeć swe zdanie przykładami w oczy bijącemi, czego ponieważ autor nie uczynił, cały jego wniosek jest urojony! — Te kilka uchybień w ogólności tu dotkniętych pominąwszy, nie mogę jednak jak przyznać, że rozprawa Pana H. C. czyni zaszczyt jéj autorowi; i życzyć należy, żebyśmy więcéj tego rodzaju w Orędowniku czytać mogli, który dotychczas na saméj bibliografii tylko ograniczać się zdaje. ***)

Przystępuję do rozprawy pana Teofila Mateckiego, którą usunąwszy niektóre myśli autora na bok, na które się nie godzę, nazywam klassyczną. Jeżeli pan H. C. jeszcze polega na powadze, to autor myśli o umiejętnościach przyrodzonych idzie całkiem za głosem własnego swego rzeczy pojęcia. Ztąd wypłynął ten dokładny organizm jego rozprawy, ta matematyczna ścisłość i jasność wykładu, jaką po wszystkie wieki odznaczać się będą pisma nieśmiertelnych Sniadeckich. Ztąd nareszcie głębokość i trafność w dostrzeżeniach pod względem saméj rzeczy biorąc na uwagę, ten ostatni wyprowadzam wniosek, że rozprawa o umiejętnościach przyrodzonych zapowiada nam nowego niepospolitego w przyszłości pisarza. Takie jest moje przekonanie. Nie zbije go wcale zaprzeczenie prawdziwości niektórych zasad i zdań autora, do których rozbioru teraz przystępuję, jak nic przeto mniéj sławnym jest w literaturze naszéj pisarzem Jan Sniadecki, choć pojmowanie jego filozofii tak było szczuplem.

Myśl filozoficzna autora o świecie i Bogu dla tego w mém przekonaniu upada, t. j. pokazuje się fałszywą, że zaraz w założeniu swém nie jest dość umocowaną. Jakkolwiek wybornym jest cały wstęp, wykazujący po jakiéj to właściwie drodze do poznania świata i Boga iść powinniśmy; nie zamyka on przecież w sobie tego koniecznego wniosku, że poznawszy tę drabinę przyrodzenia (jeżeli tylko i na téj drodze dojdziemy do pojęcia pierwszéj przyczyny rzeczy!) poznamy i Boga. Bo przypuściwszy z autorem, że Bóg jest w całości stworzenia, czyż zaraz nie widzim na oko, że z całości téj stworzenia, tylko drobna cząstka, to jest ziemia, którą zamieszkujem poznaną od nas (jeżeli tylko zupełnie!) być może; a ztąd przy niemożności zbadania i tyle milionów jeszcze światów, w skład całości stworzenia wchodzących, i poznanie nasze świata i Boga zawsze tylko cząstkowém niedokładném być może. Że się na téj i tylko téj drodze wiele dla wiedzy naszéj rozjaśni, chętnie autorowi przyznaję, ale że i na niéj nie dojdziemy do poznania pierwszéj przyczyny rzeczy — nie mniéj przekonany jestem. Słusznie nazywa autor filozofią niemiecką powieścią, ale czyż nie jest nią i filozofia empiryczna, skoro oderwawszy się od materyi, krainy ducha łokciem mierzyć rozpoczyna? Fałszywość nauki uczonego ziomka w główném zasadzie, koniecznie fałszywe za sobą pociągnąć musiała wnioski. I tak n. p. powiada autor, że tak w rodzaju roślin, jak zwierząt, i ludzi indywidua wprawdzie giną, lecz rodzaje zawsze istnieją. Daléj twierdzi, że dusza zwierząt jest śmiertelną, toż twierdzi i o duszy ludzkiéj, utrzymując w końcu, że tylko Bóg jest nieśmiertelnym. Nie pojmuję, jak może exystować rodzaj, jeżeli indywidua jego giną nie tylko ciałem, ale i duszą zarazem, t. j. tą siłą, która będąc ich, jest tymsamem jego warunkiem? Jakże wreszcie mogą niknąć one zupełnie, jeżeli częśc ich duchowości należy do złożenia, jak twierdzi autor, Boga, który jest nieśmiertelnym? — Na inném miejscu twierdzi autor, że tak jak człowiek mając wiedzę pod nim znajdującego się stworzenia, nie ma przecież wiedzy samowiedzy; podobnie Bóg ma wprawdzie wiedzę stworzenia swego, ale również nie ma wiedzy samowiedzy. Pominąwszy tu zapytanie, czyby Bóg bez téj wiedzy samowiedzy mógł stworzyć świat, który będąc tak doskonałym w najdrobniejszych swoich składach musi przecież mieć i cel swój równie doskonały; jakże autor mógł już z człowieka téj ograniczonéj odrobiny w milionach doskonalszych odeń tworów zapełniających niezawodnie ów niezgruntowany przedział pomiędzy nim a Bogiem; jakże (mówię) mógł od człowieka już przeskoczyć do wniosków o Bogu, nie pokazawszy nam wprzód, (co według sposobu swego dowodzenia prawdy powinien był uczynić) stopni doskonałości coraz wyższych tychże, nad nim piętrzących się tworów? Tego nie byłby potrafił z przyczyn w oczy wpadających. Dobrze; ale też tém samém i cała dedukcya, wszystkie wnioski autora o Bogu i świecie są fałszywe.

*) Orędownika nauk. Nr. 4—8.

**) Tyg. lit. Nr. 48—49.

***) Proszę mnie nie zrozumieć fałszywie. Znam i umiem cenić wielką ważność pism i rozpraw bibliograficznych; ale też wiem, że pismo peryodyczne niczego więcéj, jak jednostronności wystrzegac się powinno.

Tyle po prawdzie i po Bogu powiedziawszy, kończę mą korrespondencyą, przepraszając Cię, iż nie mogłem Ci przez przepisanie jéj umniejszyć choć czémś nudę, jaką może uczujesz czytając ją. Wiadome Ci zatrudnienia moje teraźniejsze były tego powodem.

Ściskam Cię serdecznie. Twój
A. Bronikowski.

Doniesienia literackie.

Jedno z pism za granicą wychodzących umieściło następujące doniesienie o J. M. Bansemer, wydawcy kilku dzieł polskich w Londynie, Lipsku i t. d. — Umieszczamy je, ceniąc zasługi i sposób myślenia zmarłego ziomka:

»Miejsce urodzenia Bansemera i dzieje początkowych lat jego nie są znajome. Wiemy tylko, że wyższe nauki odbył w uniwersytecie Warszawskim, gdzie chodził na wydziały prawa i administracyi, tudzież na wydział filozofii dla ukształcenia się w naukach matematycznych i fizycznych. Ze wszystkich tych przedmiotów stopień magistra otrzymał. Skończywszy nauki, jako kadet do artylleryi się zaciągnął. Tam od starszych był dla zdolności ceniony, od równych sobie kochany dla przymiotów serca. Batterya, w któréj służył, stała w okolicach Warki, gdzie były zakłady robót żelaznych, Bansemer i na dyrekcyą robot wpływał i miał pole w téj gałęzi się wydoskonalić. Podczas wojny oddano mu wydział fabrykacyi broni palnéj w arsenale Warszawskim. Za granicą oprócz wielu nadzwyczaj ważnych zasług, zasłużył sobie jeszcze na wdzięczność współziomków przez wydanie kilku dzieł tyczących się historyi polskiéj. I tak w Lipsku wydał znakomite dzieło Brzozowskiego: »*La guerre de la Pologne*«, oddzielną edycyą ksiąg, i t. d. W Londynie ogłosił drukiem Maryą Malczewskiego z nową polską pisownią, od pobratymczych Sławian a szczególniéj Czechów naśladowaną. Cały dochód z Maryi poświęcił na pomnik Klaudyi Potockiéj, któréj był długi czas pomocnikiem i dla któréj najżywsze miał zawsze uwielbienie. Zgryzoty, troski i niedostatek, skróciły życie Bansemera przedwcześnie, bo nie liczył więcéj, jak lat 30. Umarł w Londynie z choroby piersiowéj, z 3go na 4go Września w nocy. Pochowany na All Souls cemetery, kensall green.«

W tych dniach wyszedł w Warszawie przez Józefa Żuchowskiego: »Rys elektro-magnetyczny, systematu świata fizycznego, oraz uwaga świata moralnego pod względem elektro-magnetycznym.« Autor przechodzi w krótkości kosmodynamią, stereodynamią, aerodynamią, hydrodynamią. — Dodaje w końcu swe uwagi nad światem moralnym pod względem elektro-magnetycznym wziętym. Cena dzieła tego 6 złotych groszy 20.

Norbert Malinowski donosi, iż jego heraldyka, któréj część pierwsza opóźnioną została, nakoniec na świat wyszła. Dzieło to 18 arkuszy i 600 przeszło wzorów na papierze welinowym obejmuje. Zadowoli bez wątpienia lubowników! Obok tego doniesienia umieszcza Kuryer następne o jakiéjś rycinie: »garnków, garnuszków, rynek!« Doskonały pendant do tego dzieła.

Pan Sosnowski, znany naszym czytelnikom z kilku doniesień o jego pracach rzeźbiarskich, bawi obecnie w Warszawie. Dość zajmująca szczegółowa wiadomość o artyście tym znajduje się w gazecie porannéj z dn. 29. Listopada, na którą zwracamy uwagę naszych czytelników.

W Paryżu kończy się druk opisu księstwa pozn., historycznie przez p. Platera ułożonego, Pism Ligenzy, pamiątek soplicy tomu 3go i 4go i książki do czytania dla dzieci.

Szanowny J. T. G. w Krakowie, wydawca dzieł Sapalskiego, ukończy wkrótce dzieło swoje »Wojenność,« którego zeszyt pierwszy nakładem redakcyi Tygodnika wkrótce wyjdzie w drukarni Deckera i Spółki. Treść zeszytu pierwszego jest następująca:

Spis treści Dziejów wojennych.

I. Rzut oka dziejowy na umiejętność i sztukę wojowania.

Wstęp. Okres starożytny. Początki wojowania. Egipcyanie i Grecy. Rzymianie: popis; uzbrojenie; ćwiczenia; szyk bojowy; porównanie zastępu greckiego z rzymskim; armia konsularna; szyk bojowy armii konsularnéj; obozowanie: pochody; urządzenie zastępu na hufce; stałe wojsko; upadek wojskowości za Cesarzów. — Okres barbarzyńców. Układ feudalny. Podniesienie się wojenności w Europie. Piechota Szwajcarska. Pierwsze rządne wojska stałe. Wynalazek dział, palnéj broni. — Okres nowożytny. Nowy układ wojowania. Ulepszenia. Udoskonalenie. — Poczet postępów w wojenności.

II. Wyprawa Hannibala do Włoch.

III. Rzut oka dziejowy na sprawę wojenną w dawnéj Polsce.

Wstęp. Wzmianka o źródłach i ich niedostateczności. O wojowaniu Sławian. Niepewność początkowych dziejów polskich, a stąd i wojenności. — O wojenności polskiéj w ogóle. Działalność Bolesława wielkiego. Wzrost stanu rycerskiego w czasach następnych. Sąsiednie i europejskie wpływy, podług tego z kim wojnę prowadzono. Powstanie wojska stałego, oraz co przeszkadzało jego ustaleniu i doskonaleniu się. — O wojsku polskiém w szczególności. Podział i skład wojska polskiego: pospolite ruszenie; nadworne wojsko — gwardya królewska; stałe wojsko kwarciane; wojsko służebne najemne (komputowe); skład wojska polskiego. Zaciąg narodowy — co do jazdy Kopijnicy (Hussarze), Strzelcy (Muszkietnicy), Półkopijnicy (Pancerne chorągwie), Lekkie chorągwie (Kozacy), Lissowczyki. Zaciąg cudzoziemski — Piechota, Artylerya. Wojsko posiłkowe — Poczty szczególne, Kozacy ukraińscy. Wojsko sprzymierzone. Zagraniczne posiłki. Stopnie wojskowe. O płacy i nagrodach wojska. Sposób wojowania. Twierdze tudzież zamki pograniczne i wewnętrzne. O żegludze i panowaniu Polaków na morzu baltyckiém.

Zakończenie:

IV. Bitwa pod Kircholmem.

Ozdobione będzie rycinami, mappami i t. d. — Dedykacya: Współtowarzyszom — Współrodakom.

Przy końcu drugiego półrocza tomu trzeciego Tygodnika literackiego uprasza się szanownych Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty na następne półrocze. W przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*